



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Sara Robinson, Agnieszka Weston.

(Dokończenie).

Poczęło się to w 1865 r. Odtąd miss Sara Robinson, znana całej armii angielskiej, miała przystęp otwarty do obozu; wolno jej było w charakterze zwierzchności wojskowej krążyć pomiędzy namiotami i przemawiać. Prostota jej charakteru, połączona z naturalnym dowcipem i żywością słowa, pociągała do niej. Lubiono ją, nazywano poufale: „Soldiers Friend“; przecież, jak pisze w pamiętniku prac swoich, nigdy nie spotkała się z lekceważeniem, lub ubliżającym jej obejściem się. Szanowano ją wysoce, uznając jej poświęcenie.

A poświęcenie to rosło w miarę, jak zapoznawała się bliżej z rozmaitemi trudnościami żołnierskiego życia. Kiedy w r. 1867 siedmset ludzi ze świeżo zwerbowanej milicyi rozkwaterowano w mieście Devizes po gospodach publicznych, ona czująca, jakie nieszczęśliwe życie nędznej hulatyki wieść tam mogą, pojechała za nimi jak siostra za braćmi. Zawsze słaba, zawsze dotknięta groźną niemocą, nie zatrzymała się przed ciężkim trudem, który zdawał jej wchodzić w skład przyjętego przez nią obowiązku, i od tej chwili w głowie jej powstała myśl nowa: myśl jakiegoś własnego ogniska, wzniesionego dla tych, którzy nie mają nigdzie domu rodzinnego. Z funduszków, wyznaczonych jej na wydawnictwo książek dla żołnierzy, odkradała co mogła; jej własne honorarium literackie zostało wymazane z listy: i oto w r. 1873 i w 1874, gdy armia została rozłożona na wielkie manewra jesienne wśród posepnych

wrzosowisk Dartmoor, ona udała się i tam jeszcze, jadąc na wielkiej bryce, osłoniętej firankami, na „bryce cygańskiej“ a *gipsy van*. Cygańska bryka zatrzymała się w pobliżu obozu, na odkrytym wrzosowisku, i to był jej dom, obok którego wzniosły się dwa obszerne namioty; w jednym z nich żołnierz, który nie chciał pić wódki lub rumu, znajdował gorącą kawę i herbatę, w drugim były dzienniki i książki, szachy, warcaby, był atrament, pióra i papier na listy do domów, były marki pocztowe i pocztowa torba, przyjmująca nawet pieniądze przesyłane rodzinie — było wszystko co mogło dać rozrywkę uczciwą i ujęcie uczuciom dobrym, bo w dodatku bywało tam co Niedziela czytanie Pisma Świętego i pobożne śpiewanie Psalmów, a wieczorami dni powszednich odczyty lub pogadanki miss Robinson.

W raportach zdawanych ministeryum wojny zaznaczono niesłychanie szczęśliwy stan moralności wśród wojska. Wszyscy generałowie dowodzący przyszedli złożyć miss Robinson podziękowania, oficerowie w imieniu swoim i wojsk wręczyli jej adres, a minister wojny, lord Hatherley, z żoną swoją umyślnie z Londynu przybył do niej z wizytą, którą przyjęła w głównej swej kwaterze — cygańskiej bryce przemienionej na namiot.

Pora była deszczowa, i miss Robinson pisze w dzienniku swoim, że przez kilka tygodni manewrów tylko dwa dni były pogodne.

Grunta wrzosowisk Dartmoor, jak w ogóle wrzosowisk wszystkich, są wilgotne, sapowate i dlatego, jako nie przydatne na uprawę — puszczane na zarosła dzikie.

Koroną działalności Sary Robinson jest *Dom Żołnierzy*: „Soldier's Home“ wniesiony przez nią w portowym mieście Portsmouth. Dwadzieścia lat temu miejsce to, przez które różnemi czasy musiała się przewinać po kolei cała armia angielska, miała taki stan moralności, że biskup diecezji w kapłańskiej odezwie do rządu nazwał je najzepsutszem miejscem na świecie — „the wicke-

dest place in the world“. Miss Robinson zwróciła też na ten punkt nieszczęśliwy uwagę swą troskliwą. Majtkowie i żołnierze, mający siadać tu na okręty, przybywali z całym pobranym żołdem, który tracili w sposób najgorszy, bo wszystko wkoło sadowiło się tu z zamiarem wyciągnięcia go od nich, aż miss Robinson postanowiła położyć temu koniec: wzniesie w pobliżu miejsce ochronne, tak rozrywki uczciwej, jak zadowolenia rozmaitych potrzeb żołnierza, i ministeryum wojny, uznając myśl za wielce szczęśliwą, obiecało oddać dla jej zakładu obszerną przestrzeń, bo mógł grunt mogący pomieścić obszerne zabudowania i ogrody; lecz był szkopał, o który rzecz się rozbiła. Chciano tu pomieścić zarazem szkołę wykładow Pisma Św. Praktyczny zmysł miss Robinson ostrzegł ją, że są rzeczy niedające się łączyć ze sobą. Dom rozrywki i wytchnienia musi być domem rozrywki i wytchnienia rzeczywiście; że zaś biskup miejscowy nie chciał odstąpić od swego, ona się cofnęła i postanowiła działać na własną rękę i zwróciła się do dobroczynności publicznej, oddając najpierw na ofiarę niemal cały swój majątek rodzinny. Florencia Nightingale podniosła też głos wykazując, że dzieło miss Robinson wyższem jest stokroć od tej pracy miłosiernej, która ratuje ciało rannego, lub chorego żołnierza, bo ona chce ocalać ducha walczących za ojczyznę wojowników — i Anglia zrozumiwała to. Gdy miss Robinson puściła się po kraju, miewając na cel swój odczyty, złoto bogatych i grosze ubogich tak płynęły do jej skarbanki, że w przeciągu lat dwóch fundusz początkowy zebrany został.

Skupiła też zaraz *piekło* żołnierzy: ogromny gmach domu gry, gdzie umieściła pierwszy związek swego zakładu. Składki, jak się spodziewała, nie przestawały napływać; dokupiła kolejno sześć possessyi sąsiednich, co razem dało przestrzeń znaczną. Wzniósł się jakgdyby gród jakiś: grupa zabudowań, wśród których żołnierz przyby-

wający do Portsmouth znajduje obszerne salony do rozmowy i czytania dzienników, fajczarnie, sale bilardowe, bibliotekę, w ogrodzie kręgielnia, komnaty do fechtunku, wreszcie restauracją, cukiernią, kawiarnią, salę koncertową i odczytową. Są tu przytem, jak w zwykłych hotelach, pokoje sypialne dla mężczyzn, oraz kobiet i dzieci, są łazienki, jest doktor i apteka. Jest tu wreszcie, już przez rząd nakazana, pracownia, gdzie żony żołnierzy i majtków obowiązane są przybywać co dzień rano na trzy godziny, do szycia. Daje im to zarobek, bo szyje się tu bielizna armii i żagle na potrzeby floty.

Dałoby się zapisać karty całe, wykazując: jak rozumnie i tliwie troskliwie jest urządzenie *Domu Żołnierzy*; ale rzecz to więcej miejscowego interessu. Szczęśliwa dzieła tego twórczyni już teraz dźwignąć się nie może z sofya, do której przykuła ją niemoc niczem uleczyć się niedająca; ale obecnie wspomaga ją uczucie dobrze użytkowanego życia, dla którego, i lat późniejszych, nie zabraknie już celu. Armia angielska tak kocha miss Robinson, że ją nazywa „pierwszą po królowej” — lecz kocha ją niemniej i kraj — kocha ją i ufa jej tak, że w jej ręce składa fundusze, któremi pragnie rozporządzić wedle wskazówek przysłanych mu od niej. O milę angielską od *Domu Żołnierzy* stanął dwa lata temu, wzniesiony ze składek publicznych, *Dom Majtków*, zbudowany wedle tegosamego co tamten planu i zawsze pod kierunkiem miss Robinson, która jest zarówno rządzącą obu — jakkolwiek przemieszkują stale w *Domu Żołnierzy*, gdzie postanowiła dożyć dni swych końca, utrzymując się zawsze z dożywotniego dochodu, który zostawiła sobie z resztek majątku rodzinnego. Obie instytucje są połączone telefonem, co ułatwia wielce jej zadanie, dokonywane z pomocą kilkunastu pań, tak oddanych pracy usług obywatelskich, jak i ona sama.

Książę Cambridge trzykrotnie odwiedził w Portsmouth miss Robinson; obecnie przybył tam w tym samym celu książę Walii w towarzystwie lorda Wolseley. Książę ucałował publicznie jej rękę, dziękując jej za żołnierzy i wojowników angielskich.

Ma ona teraz około lat pięćdziesięciu; na rycynie, którą podały pisma angielskie, przedstawia się oblicze poważne i szlachetne; grube warkocze ciemnych włosów ukazują się zpod dużego kapelusza obecnie noszonej formy, który bogato zdobija pióra czarne. Na piersiach widnieje order.

W zakresie szlachetnego poświęcenia i zasługi patriotycznej Agnieszka Weston stoi też obok Sary Robinson. To, co jedna uczyniła dla tych, którzy walczą za Anglią na lądzie, zostało dokonane przez drugą dla wojowników jej ojczyzny innego tylko rodzaju: dla śmiałego ludu marynarzy, wznoszących chorągiew Wielkiej Brytanii wśród burz i bałwanów mórz dalekich: to też nazwisko jej jest błogosławionem od lodowatych pustyni podbiegunowych, do palonych słońcem piasków afrykańskich. Świadcstwo to daje jej *Times*, organ będący jakgdyby głosem Anglii, zresztą rzecz sama mówi za siebie i przekonywa najwyższą wymową faktów. Urodzona w Londynie, Agnieszka Weston jest córką bogatego i pańskiego rodu, wywodzącego się w prostej linii od Raula de Bailleul, który przybył do Anglii z Wilhelmem Zdobywcą, i otrzymawszy kawał podbitego kraju, przyjął od dóbr posiadanych nazwisko Weston. Ojciec jej, sir Henryk de Bailleul Weston, był człowiekiem uczonym i sam czuwając nad wychowaniem dzieci, chciał mu nadać kierunek naukowy; czemu jednak najstarsza córka opierała się, nie dla braku zdolności lub nawet chęci, ale przez żywość, przez bujność gorącej wyobraźni, odrywającej od pracowitego zajęcia się książką. Natura była energiczna i samodzielna i gdy w domu panował nastrój głęboko religijny, młoda dziewczyna, zrazu dochodząca pod tym względem do exaltacji, poczęła nagłe uczuć wątpliwości, i to wcześniej bardzo, prawie że dzieckiem jeszcze. Zrazu były to badania i dręczenia się myśli niespokojnej; potem przyszło zacięcie się milczące, martwiące całą rodzinę, gdy ona tymczasem rzuciła się namiętnie do muzyki, lecz i tu na swój własny i excentryczny sposób. Muzyka pokojowa nie mogła jej zadowolić, sze-

snastoletnia, poczęła uczyć się grać na organach, a że ojciec, jako człowiek uczony i badacz starożytności, przepędzał wiele czasu w Londynie dla bliskości zbiorów *British Museum*, córka towarzyszyła mu zawsze do miasta i brała lekcje od uczzonego organisty, Peyne'a, a następnie, gdy talent rozwijał się coraz, wraz z entuzjastycznym zamiłowaniem sztuki, trzeba było zawieźć ją do Gloucester, gdzie organista przy tamtejszej starożytnej katedrze, Dr. Wesley, mistrz poważny i prawie surowy, mógł być jedynie jej nauczycielem. Otaczało go koło uczniów znaczne, ale ona jedna pomiędzy niemi była kobietą, i to panną z arystokracji, przeciw mniejszą siłę fizyczną zastępowała siła gorącego zapału i wyróżniającego się talentu, który grze jej dawał piętno już artyzmu. Dnie jej całe upływały na muzyce, znaczną część godzin przepędzała na chórze starej świątyni, grając do zmroku, a nieradko i wtedy już, gdy gotycką nawę ogromnego kościoła zalegały ciemności i ona, sama jedna wśród posągów i nagrobków, otaczała się falami uroczystej melodyi, zpoza tonów której zdawało jej się, że słyszy niekiedy powolne kroki ducha — mary Krzyżowca, pokutującego wedle legendy w katedrze Glasterskiej.

Rozstać się z życiem tak pędzonym, było jej bardzo ciężko; przeciw po półrocznym tu pobycie należało wracać do rodzinnego domu, lecz ojciec, zdolny rozumieć córkę, nie chciał, aby marniała i więła obok niego duchem: więc też czekała ją słodka niespodzianka. Piękny, umyślnie dla niej zbudowany organ, ustawiono wśród obszernej komnaty letniego pałacyku w Ensleygh i córka, odbierając od niego klucz z rąk ojca, rozplakała się z radości i wdzięczności uczuwanej.

Miała wtedy lat dwadzieścia jeden.

Życie sztuki, idealne istnienie w dziedzinach poezji i harmonii, dostało jej się teraz na własność bezsporną: więc też dzięki rozstrój, bolesne przeczenie musiało ustąpić z piersi, a może samotne godziny spędzane wśród starej świątyni przyniosły jej radę swoją — może dusza jej spotkała się tam, nietylko z pokutującą marą, może usłyszała głos odzywającego się do niej Boga: i oto córka przysłała teraz dzielić z rodzicami i rodzeństwem modlitwy wieczorne, znalazła się obok nich w ławce kościelnej na nabożeństwie niedzielnym, i owieczka zbłąkana, która przeciw nie zbrukała nigdy dziewiczej śnieżystości swego runa, wróciła na miejsce swoje w gromadce rodzinnej. Wszystkie serca były szczęśliwe, lecz ta wyższa istota, która mieszkała w łonie miss Weston, nie dała jej zamknąć się w ścieśnionem kole używań jedynie, choćby i godziwych i szlachetnych. Zyskała sobie środek rozkoszy upajających jej ducha, duch ten zdobył sobie uspokojenie ciche; lecz to wszystko było dla niej wyłącznie, dla jej korzyści jedynie: a czyż poza tem nie miała nic do spełnienia?

Wiedziała, że pole obowiązków człowieka jest szerokie jak świat, jak ludzkość, i jej godziło się też czynić tu cokolwiek. Teraz, gdy miała już w piersi Boga, należało jej otworzyć serce dla bliźnich. Zajęta temi myślami, zaczęła brać udział w kształceniu wiejskiego ludu. Najpierw przyjęła na siebie nauczanie pewnych przedmiotów w szkole niedzielnej, potem utworzyła tam sobie oddzielną klasę dla dorosłych, a gdy ta zaczęła być coraz liczniejszą, przeniosła ją do osobnego lokalu i dodała do wykładów niedzielnych wieczorne pogawędki w przedmiotach, to popularno-naukowych, to moralnych, i teraz zaczął się tu robić ścisły ciasny jej serce. Ludzie wkoło niej byli żądni wiedzy, spragnieni światła, a ona posiadała je i mogła udzielić im tej iskry świętej dla której Tytani dni dawnych oblegali Niebiosa, lecz którą dziś każdy mógł dostać, byle tylko był przygotowanym do jej przyjęcia. Rozumowanie to wyszło z jej własnej myśli, że człowiek potrzebuje być uszlachetnionym moralnie, aby oświata i wiadomości z nią nabyte zdały mu się na coś rzeczywiście, nie były zakopanymi w ziemi talentami ewangelicznymi. Lekceważenie oświaty ludowej, z którem spotykała się bardzo często w wysokich sferach towarzyskich swych stosunków, naprowadziło ją na trop tej myśli. Nauka czytania i pisanie nie mogła być niczem dla istoty obyczajów grubych, upodobań niskich, i znajo-

mość [litery nie otwierała świata myśli, naprzykład żeźwierżonemu pijakowi. Agnieszka doszła tu do przekonania, że dla dopięcia celu, jaki leży przed nauką każdą, należy wykształcenie moralne prowadzić wespół z umysłowym. To ją popchnęło do rozwijania najczynniejszej działalności w kierunku etycznym, i pijaństwo, ta okrutna klęska niższych klas u wszystkich narodów, musiało wystąpić przed jej uwagę na plan pierwszy. Zaczęła też krzątać się troskliwie koło towarzystwa wstrzeźliwości, przemawiając przeciw smutnemu nałogowi zalewania rozumu trunkiem, gdy raz pijak jeden, rozdrażniony obrazem, który przedstawiała jej słowa, zapytał z uniesieniem: czy ona sama nie kosztuje nigdy wina? Kłamałaby, odpowiadając *nie!* bo zwykle piła przy obiedzie kieliszek klareta, ale mogła nie pić go już więcej, i to było jej odpowiedzią, że naczele listy towarzystwa zapisała nazwisko swoje.

To, co dotąd zdawało się piętnować moralnie, jako publiczne przyznanie się do słabości złej i niskiej, teraz wobec jej przykładu, wyrosło nagle na chlubę i godność. Zapisywano się licznie; a ona, uszczęśliwiona z obrotu rzeczy, otworzyła zaraz w pobliżu Ensleygh taką gospodę, jaka u nas zowie się *Gospodą Chrześcijańską*; gospodę, gdzie kawa i herbata wyklucza napoje gorące i gdzie miss Weston dodała jeszcze prócz czytelni dzienników, czytelnię doborowych, umoralniających książek.

Dobro, podobnie jak zło, może być przepaścią, która pociąga. Gorąca natura miss Weston dała się unieść poświęceniu i nacie szczerzego praktykowania chrześcijaństwa. Poczęła dla czytelni swojej pisać i drukować krótkie traktaty moralne, oraz powieści, a artystyczne jej usposobienie w kierunku muzycznym odezwało się i w słowie, którem chciała przemawiać żywo do serc prostych. Były one świeże, więc wrażliwe, te serca ludu, może niewyrobozone, nieuszlachetnione pojęciem życia idealnem, ale zato nieobałamucone sofizmatem, a że wdzięk pióra miss Weston był wielki, — powodzenie stało się ogromnem. Stojąca w pobliżu milicya z Somerset zaczęła licznie uczęszczać do jej gospody, czytać, co pisała, słuchać, co mówiła, karczmy i szynki okoliczne cierpiały na tem, ale jej serce rosło z radości, bo doszła do tego, że oficerowie milicyi dziękowali jej za wpływ zbawienny, który wywiera. Pragnęła, aby wpływ ten nie ustawał, aby się utrzymywał, nie zamykając się kółkiem ograniczonym: więc poczęła przepędzać coraz więcej czasu w gospodzie swojej, poczęła wchodzić w stosunki osobistej znajomości, przyjaźni życzliwej z uczęszczającymi do niej gośćmi, poznawać ich położenie rodzinne, zgłębiać uczucia, dodawać męstwa i zachęty tam, gdzie tego było potrzeba, uderzając zawsze w szlachetne struny natury ludzkiej i budząc je z uspienia. To dało jej powód, że w r. 1868 napisała do jednego z żołnierzy, odpływających do Indyi, list z pożegnaniem.

Nie był to już bynajmniej, ani traktat moralny, ani utwór literacki, ale prosty, zwyczajny list, niby siostry do brata, przyjaciółki do przyjaciela. Zawierał w sobie uwagi, rady, spostrzeżenia, opisy drobnych wypadków miejscowych i nakoniec trochę przestróg, trochę życzeń dla przyszłości, wspomnień przeszłości, a pod tem wszystkim tkwiło wielkie, szlachetne, nieklamane uczucie miłości bliźniego, z którego Agnieszka de Bailleul Weston przemawiała do syna szkockiego rolnika, do prostego żołnierza z linii, dlatego, że miał serce smutne i odjeżdżał w strony nieznanne, daleko od rodziny, przyjaciół, ojczyzny, i musiał od tej chwili radzić sobie sam.

Agnieszka de Bailleul Weston wzięła do serca los biedaka i napisała do niego z pożegnaniem tak, jakgdyby w niej się skupiał duch stron jego rodzinnych, jakgdyby była echem jego ojczyzny idącym za nim w świat.

Młody rektut pokazał list odebrany młodemu też majtkowi z okrętu, na którym płynął. Ten go przeczytał i oczy mu zaświeciły: ach! gdyby to on odebrał kiedy od kogo list taki! — taki dobry, piękny, rozumny... Gdyby kiedyś ktoś tak napisał do niego!...

Żołnierz, odpowiadając miss Weston, opisał jej wrażenie majtki, którego nazwisko zamieścił,

a za nadejściem pierwszej poczty znalazł się list do niego.

Chłopak urosł z dumy i radości, a rzecz, którą uważano za zadziwiająca, zrobiła rumor, i to nie tylko na jednym okręcie, bo płynęła razem cała eskadra, złożona z pięciu statków. List miss Weston przechodził z rąk do rąk, pokazywano go sobie, rozrywano, aby przeczytać. A czy napisała-by też i do mnie?... odzywały się głosy — i majtek, pyszny ze swego szczęścia, obiecał protekcją. W odpowiedzi, wystylizowanej najstaranniej jak mógł, zamieścił długą listę nazwisk towarzyszy, którzy prosili jej także do listy do siebie, a to: „aby zdjął im z serca ciężar samotności“...

I prosili nie nadaremnie; parowiec pocztowy przywiózł kilkadziesiąt listów; że przecież pokazywano je w różnych portach, a przykład jednych ośmielał drugich: prosby o korespondencją wzrosły tak w liczbę, że zadosyć uczynienie zadaniami stało się niemożliwością fizyczną. Czy przecież można było z obojętnym sercem opuścić tak biedaków, do których nikt z kraju nie pisał prawie nigdy i którzy z zazdrością patrzyli na officerów, otrzymujących wiadomości z domu? Miss Weston nie miała siły tak postąpić. „Zdejmuwać ciężar samotności z serc! — cóż to za łaskę czynić?... A dobroczynną ręką, która może tego dokonać, kosztuje to stosunkowo tak mało... Kilka słów rzuconych, z których wykwita w sercu bliźniem kwiat uszczęśliwiającej woni!... Miss Weston, przemyślując nad sposobem, wpadła na szczęśliwy pomysł: co miesiąc pisała długie, serdeczne listy, pełne macierzyńskiej, siostrzanej troskliwości i kazała go drukować, aby następnie rozsyłać jego egzemplarze według adresu. Pierwsze odbicie miało ich 500, obecnie tej miesięcznej jej korespondencji rozchodzi się więcej, niż 5,000, a śmiało można twierdzić, że czytuje ją najmniej 50,000 marynarzy angielskich. Wydawane w formie zeszytów, listy te mają grzbiety oklejone papierem niebieskim, ztąd też majtkowie zowią je między sobą niebieskimi ptakami, i są to rzeczywiście niby ptaki niebieskie, zalatujące w najdalsze strony świata. Oto ostatnia Podbiegunowa Wyprawa Angielska zabrała ze sobą taki zapas niebieskich ptaków, aby załoga mogła przez lat dwa dostawać co miesiąc jeden, i czynią tak okręty inne, wyprawiające się tam, gdzie poczta z kraju już-by ich dojsz nie mogła. Zna je też, te niebieskie ptaki, każdy okręt, każdy port angielski, każdy szpital marynarki. Raz miss Weston, zwiedzając w Portsmouth ambulans wojennego okrętu, spotkała się ze wzruszającym zdarzeniem. Chory majtek trzymał pod poduszką kasetkę, której nie dał sobie ruszyć, bo zawierała jego skarby. Między nimi był „ptak niebieski“ pierwszy, który odebrał, a który doszedł go w Chinach. „Pragnę, aby włożono go ze mną do grobu, — prosił miss Weston biedak ciężko chory, opowiedziawszy jej, jak list ten zbawił go od wielu złych postępów, które teraz byłby ciężły mu na sumieniu.

Miss Weston prosiła władzy, aby pozwalano załodze na pewnego rodzaju meeting po każdym dostaniu się na okręt *niebieskiego ptaka*. Po zbiorem przeczytaniu listu następuje rozprawa i rozbiera się kwestye tem poruszone, co właśnie jest najważniejszą rzeczą, bo treść zostaje w ten sposób przetrwaną przez umysły, które następnie pracują nad nią w cichości i skupieniu ducha.

Miss Weston poświęciła się obecnie w zupełności sprawie marynarzy angielskich, dla których pracuje i w kierunku praktycznym, wnosząc w najważniejszych portach gospody chrześcijańskie, w całym znaczeniu tego wyrazu. Pierwszy taki dom majtków: *Sailor Home* wznosił się r. 1876 w Devonport jej staraniem i w znacznej części jej kosztem, obecnie znajduje się ich jeszcze cztery: w Sherness, w Portsmouth, na Maderze i w Yokohama, a choć nie było jej tam wszędzie, gdzie się budowały, i być jej nie może i teraz, duch jej jest za nią zawsze tam, kędy go potrzeba, i działa tą siłą cudowną, która zawsze znajduje się w uczuciu prawdziwym.

Fundusze na wnoszenie tych zakładów wszystkich pochodzą głównie od tych samych, dla których służą. Jest to w znacznej części „grog money“ nadsyłana przez marynarzy, którzy za wpływem

miss Weston rzekli się napojów gorących. Officerowie i zamożniejsi kadeci marynarki przyłożyli się też ofiarą swojemu, które jednak tak jedni, jak drudzy — wszyscy w ogólności, nadsyłają na ręce miss Weston. „Sailor's Friend“ rozrządza tem rozumnie i praktycznie a wiara w nią, ufność, jaką w niej pokłada cały lud marynarzy angielskich, jest niezmiernie niewzruszoną. W każdej z wymienionych gospód znajduje się jej portret „dla radości oczu ludzkich“. Ona sama mieszka w pawilonie „Sailor Home“ w Devonport, zawsze jednakowo czynna, spokojna i zadowolona. Muzyka stanowi dla niej zawsze tę idealną krainę, w którą ucieka na wypoczynek i odetchnienie po trudach i pracach przyjętego na siebie obowiązku. Oblicze jej na drzeworytach angielskich ilustracji jest niewymownie proste, miłe i łagodne. Nie nie oznajmia niepospolitej artystki, ani kobiety sławnej; ale rys każdy powiada, że to jest kobieta sercem dobra. Z gołą głową i gładko uczesanymi włosami, w sukni szamerowanej z przodu i w gładkim płóciennym kołnierzyku, wygląda bardzo skromnie i wydaje się prawie młodą dziewczyną. Drzeworyt ten jest kopią z jej portretu, który sławna angielska malarka Elżbieta Tompson malowała w roku zeszłym dla „Sailor Home“ w Yokohama.

M. I.

STROFA PROZA

przez

W. Z. Kościatkowską.

(Dokończenie).

Po chwili spytała go ciszej, z tklivem współczuciem: — Powiedz mi: jakim sposobem, kąpiąc się w cieniach życia, można, nietylko dostrzeżać, lecz tak żywo, jak ty, odczuwać światła same?

— Chciałabys — odrzekł, ozywając się — abym dlatego, że się w nich nie kąpię, przeczył istnieniu jasnych promieni lub ich nie uwielbiał? A ja dlatego, że sam użyć ich nie mogę, mam przecież piękności urokom, rozkoszy samej życia? Miałabym sarkać na ptaki, że skrzydła mają, a na kwiaty, że wonią i barwą nęcą motylów? Ależ ja z mroków moich spoglądać mogę w samą twarz słońca, z poziomów śledzić ptaków lot szczytny i okiem i myślą mierzyć przepaście tych, zarówno nad orłem jak nad ślimakiem rozwieszonych, błękitów!

Z oczu mu zaświatowe blaski były, — duchem był tylko. Patrzała na niego z uwielbieniem.

— A gdy na tym kłębku sympatii, który masz w piersiach, potworzą się węzły bratnich boleści?

— Wówczas boleję. O! nie sądź tylko, że mię to, co pogodą ducha nazywasz, obojętnym czyni lub boleć niezdolnym... Miewam i ja chwile zwątpienia i goryczy. Nie sądź mię lepszym lub silniejszym, niż jestem... Czasem ta moja ślimacza skorupka wydaje mi się więzieniem, w którego niezłomnych ścianach więję się i szarpie okrutnie.

— A wówczas?

— Krzepię się myślą, żem wolny duchem.

— Więc jesteś szczęśliwy!

Usta drgnęły mu niedostatecznie gorzką ironią; wzrok jasny się zaćmił.

— Szczęśliwy! — powtórzył bardzo cicho — zmięta różę podnosząc i przypatrując się jej z wymuszoną nieco uwagą.

— Szczęśliwy — rzekł — zapewne! Wszak szczęście jest względne... Czy to czytałem gdzieś, czy mi się sniło, że myśl kresli kontury życia, uczucie je wypełnia, lecz dopiero namiętność za-barwia...

W oczach jej zakręciły się gotowe już wytrysnąć łzy.

Uśmiechnął się:

— Wszak się nie uskarżam. Na cóż zresztą, na kogoż, miałbym się skarżyć.

— Chociażby na los ślepy...

— Kto ślepych oskarża?

— Kto? ten, co niewinnie znosi bezmyślne ślepego razy.

— Gdzie kryterium winy? i istnieją ona wobec praw przyrody? Są tylko przyczyny i następstwa. Do przyczyn blizkich, namacalnych przystosowujemy z jednej strony natychmiastowe następstwa, z drugiej łokieć, którym sprawiedliwość mierzyć zwykliśmy: i nazywamy winą jedno, karą drugie. Przyczyny dalsze, złożone, odległe, wymykają się spod przenikliwości naszej i wówczas, oburzamy się na to, co nazywamy niesprawiedliwością ślepego losu...

Wyprostował się nagle i ruchem, żywszym, niż ze złamanej chorobą postawy jego wnosić było można, wskazał na wiszący na ścianie portret. Ruch ten był tak żywy i niespodziany, że zbudzony pies warknął.

Ona też powstała, i choć portret ten znała do brzo, nie mogła powstrzymać lekkiego okrzyku.

— Co za podobieństwo!

— Następstwa do przyczyny! Konającego dźwięku do pełnego akordu, zerwanej do nazbyt naciągniętej struny.

— Podobieństwo równie uderzające jak podobieństwo Adryana... chociaż między wami podobieństwa tego nie ma...

Uśmiechnął się smętnie.

— I być nie może. Ojcowie nasi, mój i Andrzeja, podzielili się ojcowizną wiernie, a każdy połowę przez się wziętą przekazał synowi swemu nieuszczuploną, lecz wzmożoną raczej przez nieuniknione spadku koleje... I dlatego każdy z nas ma dziś swą część dziedzictwa dziada, tylko wcale różne części przypadły na dolę każdego z nas...

— Nieraz — ciągnął wpatrując się w portret — godziny długimi rozmyślałem o tem, tak stanowczym, rozpołowieniu spadku. Adryan odziedziczył piękność hardą i miękką zarazem, siłę mięśni, giętkość charakteru, brak troski o jutro, łatwość odbierania i zmieniania wrażeń, temperament ruchliwy, potrzebujący wieczystej podniety, a bezsilny tylko wobec pracy wytrwałej; odziedziczył najwnętrzną zmysłowość, zespoloną ze szczerością niehamujących się namiętności...

— Ty zaś wzięłeś iskrę, która tam w tym oku drga migotliwym, niepewnym jeszcze blaskiem, tę iskrę czystą, lotną, która się tam przebija zaledwie wśród łuny wzniesionej poziomami pożary. Iskra ta w twojem dopiero oku wzmożyła się do nieskończoności, zajaśniała w pełni czystego blasku, uduchowiła się...

— Tak! uduchowiła się tak bardzo, że wszystko już, co ziemskie było, przepaliła... Wszystko pożarzy nerwowe tkanki: nic nie pozostało dla mięśni i mięśni. I tu, jak tam, przy tem rozpołowieniu dziedzictwa, a tu, owiele głębiej, radykalniej, niż tam, naruszoną została równowaga dwóch pierwiastków... Na moją dolę przypadło płacenie długów tego, zbyt hojnego i nieogłędnego, pana...

— A na Adryana?

— Nowych zaciąganie.

— Umilkli na chwilę. Chory osunął się na poduszki fotelu; powieki, zlekka nabrzmiałe, przykryły mu wdół opuszczone źrenice.

— Tylko harmonia, tylko równowaga tych dwóch pierwiastków, duchowego i materialnego, zapewnić może szczęście... o któreś mię pytała. Boję się też, abyśmy na fatalnem tem rozpołowieniu dziedzictwa, obadwaj nie zbankrutowali nie miłosiernie... boję się, że nie ja sam tylko, lecz może i Adryan nie potrafi uszczęśliwić i być szczęśliwym.

Drgnęła; z oczu, które z współczuciem i tklivością bez granic spoczywały na bładem lecz hardem w swym spokoju czole chorego, a które teraz przeniosła na portret, strzeliła iskra namiętnego żalu, gniewu może, gdyż spojrzenie to ostre było, wyzywające. Wyszła na ganek i oparła się o balustradę.

Słońce wysoko jeszcze było, chociaż przedłużone cienie drzew zwiastowały chylenie się jego ku zachodowi. W powietrzu rozlegała się silniejsza woń, w pół zwiedłych róż nagromadzonych w pokoju, — groszków, rezedy i lewkonii, których szerokie rabaty otaczały balkon. W dworze tu

i ówdzie zdawał się budzić ruch pewien. Skrzy-
piały tam gdzieś koła wozu, ówdzie żwir pod
stopami przechodnia, tam gdzieś znowu żóraw od
studni; lecz bliżej domu i w domu, wszystko we
zwykłej pograżone było ciszy, i tylko jaskółki,
od których skrzydeł, gdy niemi przerzynały po-
wietrze, przelotne padały cienie, wracały do
gniazd swych wiodąc za sobą w locie niewprawne
jeszcze jaskółczęta. Z lasu dolatywał chwilami,
to znów się oddalał, gon psów. — Raz trąbka my-
śliwska zadzwoniła tak głośno, tak blisko, jak-
gdyby w parku samym. Sarna, tamtą stronę jeziora
o brzeg musnąwszy, przemknęła jak iskra i znikła
w zaroślach nadwodnych wyłobień. Gdyby nie
jezioro, schroniłaby się może w fałdach sukni ama-
zonki i u nóg jej znalazłby się pomykający za nią
strzelec.

Kobieta parę razy zrobiła ruch taki, jakgdyby
powzięła była postanowienie jakiegoś; lecz za każ-
dym razem głowa jej kłoniła się znowu na opartą
o balustradę rękę.

„ . . . jednak przecie warto
Chociaż na chwilę dać swą pierś rozdartą
Tym, którzy łakną i tęsknią za niebem;
A głodnych karmić ideału chlebem...“

Ozwała się zcicha, lecz chory czujnym uchem po-
chwycił te, raczej do szmeru myśli, niż do dźwię-
ków głosu podobne, słowa.

— Wszak czynisz to codziennie, od lat wielu! —
odezwał się równie cicho, nie zmieniając postawy
i nie podnosząc w dół opuszczonych powiek.

Zbliżyła się, usiadła na niskim taburecie, tuż
u nóg jego, jasnowłosą głowę oparła pieścizotli-
wie o jego kolana.

— Pytałeś mnie, Karolu — poczęła półgłosem —
co jest przyczyną zamyslenia, w które wpadam,
roztargnienia i niepokoju, które nie uszły baczne-
go wzroku twego... Chcę ci to właśnie powiedzieć;
lecz nie tak to łatwo, jak sądzisz. Dopomóż mi
Karolu! podpowiadaj! — zakończyła tonem rozpie-
szczonego dziecka.

— Uczyniłbym to chętnie — rzekł z uśmiechem
pobłażliwego nauczyciela, — gdybym się domyślał
w najmniejszej choć mierze: z czego masz mi się
zwierzyć.

— Z tego, że... chcę być szczęśliwą i uszczę-
śliwić.

Drgnął i szeroko roztworzył powieki, ale ona
nie uważała na to.

— Czas już! — rzekła — Mówiłeś mi, żeś liczył
lata, odkąd zjawiłam się w twych progach i od-
kąd zjawiam się codzien, wierna jak morze
w przepływu godzinie. Sporo ich naliczyłeś, pra-
wda?

Błądą jego, chudą rękę ujęła w ciepłe swe dło-
nie. Pod ich aksamitnym dotknięciem przebiegły
go dreszcze, lecz ona zdawała się nie zważać
na nie.

— Pamiętasz — ciągnęła miękko, a czarne jej
źrenice w oczach jego zatopione, mgliły się roz-
rzewnieniem, — pamiętasz! Dzieckiem byłam pra-
wie, pustem, a już zranionem przez życie na sa-
mem jego progu. Przyszłam tu, burzą przedwczes-
ną losu rzucona, samotna i gorzej niż samotna,
bo w towarzystwie niedoświadczenia i swobody
sierocej. Na ten, tam za lasem stojący, dom mój
rodzinny, spoglądałam z nieufnością, jak na klat-
kę ciasną, a nadłamane w niej skrzydła gotowam
była pogruchotać o przydrożne przygody, ścię-
gając... nieokreślone ideały.

Dawno to było! I ja liczyłam, nie lata, lecz
wszystko, coś odtąd zrobił dla mnie. Liczyłam
i — straciłam rachunek... Sierota, znalazła w tobie,
nietylko jedyne krewne i prawne opiekuna,
lecz brata i mistrza. Nauczyłeś mnie dom swój własny
choć pusty i zimny, nie za klatkę, lecz za gniazdo
uważać i z gniazdem tem związałeś mnie obowiąz-
ku, a co zatem idzie, wzrastającego przywiązania,
węzłami. Wyobraźnią rozbijała zwracałeś ku nie-
zmiennej piękności przyrody i sztuki, umysł wzo-
gacałeś wiedzą, w sercu rozdmuchiwałeś zarzewie
szlachetnego umiłowania prawdy, pokazywałeś jak
szukać jej ponad nędzną kałużą przesądów, a wska-
zując mi coraz szczytniejsze ideały, uczyłeś bez

zawrotu głowy i serca omdlenia, — mijać przepaście
zwątpień i obłądów.

W miarę, jak jej słuchał, blade jego policzki
gorączkowym zabarwiały się rumieńcem, w oczach
zatopionych w jej podniesionym na niego z wyla-
niem, z nieograniczoną czułością wzroku, zapalały
się, to gasły, iskry na uwięzi niby trzymanych
uczucie i nadziei... i czegoś więcej jeszcze może...

Miałe-by nie być duchem tylko?

Ale ona, ręki jego z dłoń swych nie wypuszczają-
jąc, mówiła dalej.

— Przed laty, ptaszę płochliwe, zranione i któ-
reby może zginęło marnie, gdyby los go na twoje
nie był rzucił drogę, przytulifeś, osłoniłeś przed
złem, wychowałeś, a teraz...

Wyprostowała się.

— I cóż, mistrzu mój, — czy cię nie zawiodła ucze-
nica twoja?

Istotnie miał z czego być dumnym; nie z dumą
jednak, lecz z uwielbieniem niemem patrzył na
nią... i z czemś więcej może.

Miałe-by nie być duchem tylko?

— Patrz — ciągnęła z rzewnym uśmiechem, lecz
nie bez dumy czującej swą wartość — dziś masz
przed sobą kobietę dojrzałą, trzeźwą, sił swych
i siebie świadomą, kobietę — człowieka, zdolną —
wszak prawda? — w najlepszym tego słowa znacze-
niu, uszczęśliwiać i być szczęśliwą... Twoje to
dzieło!...

Skłoniła się, usta jej spoczęły na jego ręce,
a usta te, z których tyle dopiero ciepłych słów
spłynęły, gorące być musiały, bo zwykle blada, ta
zimna ręka zapalała. Z oczu szafirowych zamiast
spojrzeń żar sphywał na jasnowłosą, u kolan jego
pochyloną, głowę kobiecą...

Nie, nie był on duchem tylko...

Gwałtownym ruchem porwał ją za obie ręce.
Zdawało się, że ją do bijącego — o, jak gwałtownie!
serca — przycisnie, nazawsze, na wieki; że nagle
jakieś słowo magiczne tym szczupłym, wątłym
ramionem, tytanicznej użyczył mocy, — aby mo-
gło zawrzeć ją w objęciu swoim nazawsze, na
wieki. Lecz on nazbyt przywykł do panowania
nad sobą, aby uleść nieprzemierzonym chociażby
popędowi: wyprężył się... duch znów brał górę...
i siląc się na spokojny, zaświatowy swój uśmiech,
spytał ją:

— Ależ, dziecko! czy nie wiesz, że szczęścia nie
ma bez... miłości...

Słowa te ledwie dosłyszalnym szeptem wiły się
po spieczonych jego wargach; ostatnie zagrzezło
mu w gardle...

Ale ona w spojrzeniu jego tonęła niezmaconym
promiennym wzrokiem.

— Wiem — rzekła z prostotą — i dopóki pewną
siebie nie byłam, nic ci nie chciałam mówić... wa-
hałam się... długo, długo. I mnie odstraszało zrazu
to rozpolowione między wami dziedzictwo...
Wszak mię rozumiesz... przecie ta iskra lotna,
którą, patrząc na ciebie, nauczyłam się rozumieć
i cenić...

Sen-że to był?

Lękał się najlżejszym ruchem, słowem, spło-
szyć czar rozkoszny, upajający...

Wtem pies warknął i rzucił się ku drzwiom.
Ciszej, zbudzisz go! o niemądry, niedobry Poklu-
sie! już go zbudziłeś!

We drzwiach, jakraz naprzeciw portretu, sta-
nał mężczyzna słuszny, muskularny i zgrabny za-
razem. Postać to była harda i wytworna. U pę-
tlicy myśliwskiego jego kubraka wiodła róża.
Piękną i silną ręką, z długimi palcami i dłonią
różową jak wnętrze konchy morskiej, gładził
ciemny, lśniący wąsik, rzucający lekki cień na
wargi purpurowe, pełne, po rogach nieco ironicz-
nie zagięte, wilgotne od słówek jedwabnych, od po-
całunków, których liczba już przepadała, gotowych
do zaklęć tkliwych, równie jak do wyszydzenia te-
go, co przed chwilą twierdziły z przekonywającą
namiętnością szczerością.

Zpod brwi ciemnych, prostych, sobolowych,
lekką ściągniętych niecierpliwością, ogniste i śmia-
łe spojrzenie szafirowych oczu strzelało wprost ku
młodej kobiecie.

— Daruj, Karolu — zawołał wesoło, głosem peł-
nym i wdzięcznym, choć na basowy zarywają-
cym — Lecz i mnie przecie coś się należy! — Nie-
chcę pozbawiać się towarzystwa kuzynki, cze-

kałem większą dnia połowę; cierpliwości zabrakło
mi wreszcie. Wiedzą coś o tem zające i sarny!
Nie pytam: jak się masz, Karolu: nigdyś jeszcze
tak dobrze nie wyglądał! Poczyty, kochany
bracie! Ty więcej od nas wszystkich pracujesz;
myślisz za nas. Cobyśmy bez ciebie poczęli! Kto
wie, nie potrafilibyśmy może własnego zbudować
szczęścia. Daję ci słowo honoru, że mię nic już
teraz, ani nawet wyścigi w Longchamps nie zdo-
łają wywabić z Marlińca... *Je me range*, Karolu!
Przy twojej pomocy i... kuzynki, ale jutro pomó-
wimy o tem obszerne. Pozwolisz, przyjadę
zrana, kuzynkę uprzedzę... Tymczasem konie się
niecierpliwią. Obiecałaś mi dziś rano jeszcze przy-
bycie swoje, kuzynko. Służę pani mojej.
* Podał jej ramię; oparła się na niem, zarumie-
niona, uśmiechnięta, dumna, szczęśliwa. Uprowa-
dził ją... jak swoją...

W oddali skonały lekkie, elastyczne kroki uro-
dziwej pary. Skonały po chwili i tętna kopyt koń-
skich.

Z kolei ucichły echa trąbek myśliwskich i oga-
rów granie. Jaskółki, ze straszliwą wrzawą, za-
gnawszy do gniazd probujące lotu jaskółczę-
ta, umilkły też i czasem tylko zatrzepotały skrzy-
dłami — do snu się układając. Na niebie światła
mroczyły się stopniowo. Ostatnie promienie słońca
zgasły na oczach wiszącego na ścianie, naprzeciw
otwartych na balkon drzwi, portretu. Ostatnie
różowe blaski zachodu rozplynęły się po kątach
ust, uwydatniając ich szydercze zagięcia. Mroki
coraz cięższe zlewały się na komnatę, owijając
zagłębioną w fotelu postać nieruchomą, cichą.
W szafirowych źrenicach, zapatrzonych w zasnutę
wieczornym cieniem niebo, zapalały się gwiazdy...
zaświatowych marzeń.

K O N I E C .

UCZUCIOWI

KOMEDIA W DWÓCH AKTACH

przez

Józefa Blizińskiego.

(Dalszy ciąg).

SCENA XII-ta.

Zosia. — Po chwili Radca.

Zosia (sama, z naiwną radością, klaszcze w ręce).

Boże! Boże! Boże! jakże szczęśliwie poszło!
Teraz już jestem spokojna: wszystko zostanie
tak, jak było, bo, czy Kamilka odstąpi mi połowę,
czy ja jej, to zupełnie jedno i to samo (*chodzi za-
myślona; w głębi naprawo ukazuje się radca*).

Radca (n. s.).

Odszedł ztąd w tej chwili. Wyglądało to na *ren-
dez-vous*. Gdybym był mógł słyszeć, co mówili! Ale
nie wypadało tak nagle rozstać się z generałową.

Zosia (stoi).

Ale... a ten list. Teraz mogę go już przeczytać
bez skrupułu (*czyta*).

Radca (n. s.).

Jakieś piśmo! liściki już do siebie pisują. Wszystko
się we mnie burzy, pod moim bokiem śmia... jakby
na urągawisko: i ja mam na to pozwolić! Nie! nie
wolno mi zamykać oczu na podobne bezprawia.
(*zbliża się pocichu i chwytą za papier*). Pokaż: co to
czytasz?

Zosia (przerazona).

Ah! nie, nie, wujaszku! niech Bóg broni! nie
można!

Radca.

Tajemnica—przedemną? A cóżes to mi mówiła niedawno? Co? Toż ty taka obłudna? Czekaj! Zaraz się dowiem, co to jest.

Zosia (*chwytła go za rękę i usiłuje list odebrać*).

Wujaszku, na Boga! to nie może być w żaden sposób! zaklinam cię, później się dowiesz, wujaszku! (*klęka, czepia się jego ręki*).

Radca.

To mnie już zaciekawia do najwyższego stopnia. (*wyrywa rękę i zaczyna czytać*).

Zosia.

Ah! ja nieszczęśliwa! Oczu nie będę mogła teraz podnieść na niego! (*ukrywa twarz w dłoni i wychodzi nalewo, płacząc*).

SCENA XIII-ta.

Radca (*czyta list z oznakami coraz większej konsternacji; p. c. ogląda adres, drżącym głosem*).

To jest widać ten list, który odebrał teraz z poczty.

Janek (*wchodzi z samowarem*).

Wielmożny panie, samowar kipi. (*dmucha w niego*).

Radca (*p. c. słabym głosem*).

Trzymaj mnie, trzymaj mnie.

Janek (*idzie do niego z samowarem*).

Co to wielmożnemu panu?

Radca (*coraz słabszym głosem*).

Trzymaj mnie, błaznie jakiś, bo padnę. (*Janek stawia przed nim samowar, a sam złytu bierze go podpachy*).

Janek.

Jezus Marya. Jaki wielmożny pan ciężki!

Radca (*z wolna przychodzi do siebie*).

Myślałem, że zemdleję. (*oddycha ciężko. — Zastłona spada*).

Koniec aktu I-go.

AKT II.

(Dekoracja tasama).

SCENA I-sza.

Kamilla.—Po chwili Zosia i Karol.

Kamilla (*wychodzi z domu*).

Czekałam na niego w salonie, nie przyszedł... a Zosia obiecała mi go przysłać... i pragnę, i boję się tej rozmowy samnasam... co to będzie? co będzie? (*idzie na prawo i patrzy za kulisy*) Zdaje mi się, że to on... tak, chodzi na około stawu, jak-gdyby nie nie widział i nie słyszał, co się koło niego dzieje. (*spogląda*) A tam kto znów? A! to ojczulek, przechadza się po alei; ale jakimże przyspieszonym krokiem! — zapomina, że mu tego nie wolno: muszę go wyłajać (*spozstrzega Zosię z Karolem, przechodzi nalewo*).

Zosia (*wchodzi przędko z prawej strony, za nią Karol*).

Daj mi pan pokój, proszę pana bardzo, co mi pan narobiłeś! to strach pomyśleć! Idź pan sobie, wyjedź ztąd przędzej—bo truchleję na myśl...

Karol.

Ale, panno Zofio, zastanów się pani, któż wienien? Mówiłem, żeby zachować w tajemnicy.

Zosia.

Pan się także zastanów: jakie teraz będzie moje położenie w tym... (*spozstrzega Kamillę*) masz tobie, Kamilka... (*do Karola z podniesionymi rękami*) No, widzisz pan, widzisz pan!

Karol.

Widzę tylko, że pani jesteś zbyt rozdrażnioną, bez powodu.

Zosia (*na pół z płaczem*).

Bez powodu!

Kamilla.

Ale cóż się stało?

Zosia (*żywo*).

Nie mogę ci powiedzieć w żaden sposób.

Kamilla.

Jakto? i dla mnie tajemnica?

Zosia.

Naturalnie, że tajemnica—i jaka jeszcze! Nie pytaj, moja droga. Jeżeli mnie choć cokolwiek kochasz, wołałabym umrzeć, niż w tej chwili ci powiedzieć. Dowiesz się później (*żywo*). Jest to rzecz, tycząca się tylko nas dwojga. Prawda p. Karolu?

Karol.

Niekoniecznie.

Zosia.

Widzisz, jak kłamie, No! to dopiero!

Kamilla (*z mimowolnym uśmiechem*).

Jakże mam widzieć, kiedy nie wiem o co chodzi.

Zosia.

Dowiesz się, dowiesz, nie bój się (*jakby dla zagadania, do ucha*). Ale! widziałas się z Floryanem?

Kamilla.

Nie, miałas mi go przysłać.

Zosia.

Ah, prawda! On przez ten czas się może utopił (*patrzy na prawo*). Nie! chodzi jeszcze (*do Karola*) Mój panie Karolu, pan Floryan spaceruje sobie tam nad stawem. O! widzisz pan. Przyslij nam go tu, a potem pan sobie jedź ztąd, na Boga pana proszę; ja nie chcę, żebyś pan tu był dzisiaj (*wypycha go*).

Karol.

Odejdę, kiedy pani chcesz koniecznie, ale nie odjadę, w ostateczności ukryję się gdzie blisko, żeby mieć oko na to, co się dzieć będzie.

Zosia.

Ukryj się pan gdzie chcesz, tylko nie pokazuj się pan, mój panie złoty, zaklinam pana (*Karol wychodzi napravo, ona patrzy zanim przez chwilę; do Kamilli*). No, idzie tu twój Floreczek, zostawiam was, (*n. s. odchodząc*) Ah! moja głowa, moja głowa! On sobie poszedł się ukryć, ale ja — gdzie się podzieję? (*odchodzi nalewo; w tej samej chwili wchodzi Floryan z prawej strony*).

HISTORIA, JAKICH WIELE.

Zostało ich dwoje: pięcioletni Henryczek i siedmioletnia Janinka. Chłopiec, założywszy poważnie wtył rączki, zgóry spoglądał na jasnowłosą siostrzyczkę, co z zapłakanymi oczkami i paluszkami w buzi słuchała jego dowodzeń, że kto umiera,

ten nie może już, ani chodzić, ani mówić, ani pieścić się i całować.

— Mamol mamol — wołała rozszlochana dziewczynka; nikt jednak długo nie odpowiadał na rozpaczne wołanie. Dopiero po upływie dobrej pół godziny uchylono cicho drzwi i do dziecinnego pokoju wszedł młody, z bladą, zmęczoną twarzą, mężczyzna.

— Cicho, Janinko, cicho, mój aniołku—szepnął, pochylając się nad dzieckiem—mama śpi: nie można jej budzić.

Janinka szeroko otworzyła wielkie szafirowe oczy, w których dotąd lśniły łzy, a na różowe usteczka wybiegł uśmiech, wesoły, promienny,—uśmiech pieszczonego dziecka. Więc mama śpi tylko! Heniuś chciał ją nastraszyć; ona poprosi ojczulka, żeby ją zaniósł do mamy, i póty będzie spać całować, aż otworzy zamknięte oczy.

— Tato, tato! Weź mnie do mamy—prosiła, wyciągając błagalnie rączki.

Ze smutnych, zaczerwienionych oczu ojca spłynęły dwie ciężkie łzy na jasną główkę, tulącą się do niego, a usta mężczyzny rozpacznie przygłębły do słicznej twarzyczki, gdy wziął dziewczynkę w ramiona.

Minęli kilka pokoi, nim weszli do ogromnego salonu. Szary zmrok panował tutaj; okna, zasłonięte czarnymi oponami, nie przepuszczały jasnych promieni słońca, które tam, na świecie, jaśniało tak wesoło.

Cisza ponura, tajemnicza zalegała komnatę, w środku której, na wysoko ustawionym katafalku, wśród kwiatów i światła w dębowej trumnie ułożyła się na sen wieczny mama Janinki i Henia. Piękna, blada twarz młodej kobiety miała ten dziwny wyraz spokoju, jaki daje śmierć tym, których życie było ciężkie. Drobną usteczka jeszcze po śmierci uśmiechały się łagodnie. W długiej, białej sukni, z wieńcem róż na ogromnych kruczonych włosach, wyglądała raczej na uśpioną dziewczynkę, niż na żonę i matkę dwojga biednych sierot.

Ojciec i córka stali bez ruchu, w milczeniu; aż dziewczynka przerwała grobową ciszę. Chciała pocałować mamę—pocałować i obudzić. Wrażliwą, nerwową naturę dziecka straszyl ponury cień pokoju, blade światło gromnic, niewzruszoną matki. Wierzyła w to najmocniej, że gdy malutkie ciepłe usteczka przycisnie do bladej twarzy, za pocałunek dostanie pocałunek. Tak było zawsze: dlaczego więc dzisiaj miałoby być inaczej?

Dały się słyszeć ciężkie kroki. Do pokoju weszli księża i żałobnicy. Ojciec ujął córkę w objęcia i, podnosząc ją wysoko ku trumnie, rozkazał pocałować matkę. Dziewczeczka, chcąc spełnić rozkaz, pochylała się nad ukochaną twarzą, ale on gwałtownie ją oderwał.

— Nie w usta, lecz w rękę pocałuj—zawołał.

Nieszczęśliwy ojciec obawiał się, ażeby pocałunek, wzięty z ust zmarłej usteczkami córki, nie przeniosł choroby wyniszczającej zwolna, a strasznej, nielitościwej, beznadziejnej. Gdy stawiał dziewczynkę na ziemi, pot grubymi kroplami spływał mu po wyniosłym czole.

Teraz kolej na niego. Pewnym krokiem wszedł wysoko, po stopniach, i stał tam bez ruchu. Zdawało mu się, że to sen, że ona nie umarła. Czyż mogła umrzeć—taka piękna, młoda, szlachetna? Czyż mogła odejść i zostawić jego i dzieci? Ona! życie i radość jego domu, światło jego oczu. Najdroższa, ukochana! A jednak umarła!

Obca ręka spoczęła na ramieniu męża, chcąc go odsunąć. Cofnął się, ażeby zaraz głuchym jękiem paść na podłogę i bić głową o twarde stopień katafalku. W chwili największej rozpacz, gdy mu się zdawało, że nawet Bóg odwrócił się od niego, dwie maleńkie różowe rączki objęły szyję nieszczęśliwego a słodki głosik szepnął:

— Będzie boleć, tatusiu.

Podniósł zdziwione oczy: przed nim stała Janinka. Na złotą główkę padł promień światła z gromnicy, a czarna żałobna sukienka, w którą dziecko było ubrane, wyraźnie mówiła: sierota. Czy wolno mu było odbierać sobie zdrowie lub życie? Ukochana żona, umierając, pod jego opieką zostawiła dwie maleńkie sierotki. W tej chwili przypomniał sobie, że Henio został w dziecin-

nym pokoju: kazał go przynieść, a sam podniósł się z ziemi, na której dotąd klęczał, i złożwszy długi pocałunek na ustach, które już nigdy otworzyć się nie miały, dał znak ręką żalobnikom, że mogą zakrywać trumnę; ale w tejsamej chwili Janinka, stojąca przy ojcu rzuciła się ku katafalkowi z wyciągniętymi rączkami, z wystraszoną, pobladłą twarzą, wołając namiętnie:

— To moja matka!

Dziecku zdawało się, że matce chcą zrobić krzywdę... może zabrać białą sukienkę, wieniec, albo krzyżyk złocisty, który trzymała w zacisniętych dłoniach. — Chciała bronić, a czuła, że nie może inaczej — tylko, wołając, że to „jej matka“.

Gdy wyszli księża, gdy wyniesiono trumnę, za którą z odkrytą głową postępował mąż z dwójgiem swych dzieci, wśród tłumu czekającego na pogrzeb rozległ się szmer współczucia. Żalowano zmarłej, współbolewano z mężem; ale najwięcej oczu zwracało się ku małej dziewczeczce, która lkała zstawić, — płacz swój, żalostliwy, głęboki, przerywając tylko niekiedy wołaniem: „Mamo, mamo! matenka najdroższa“.

* * *

W przesłiznie urządzonej salonie, którego ściany pokrywają pyszne obicia, na maleńkiej koczce siedzi mężczyzna lat średnich, trzymając w ręku świeżo rozpieczętowany list. W zadumanych oczach siwiejącego już człowieka widać zadowolenie i cichą radość. Najwidoczniej elegancki papier, wyłożony monogramem i hrabiowską koroną, zawiera dobre nowiny.

W salonie panuje cisza; przez otwarte okno płynie fala świeżego wiosennego powietrza, zapach kwiatów, śpiew ptaszek. Kiedyniekiedy daje się słyszeć świeży, dzwiczny, uroczy głos, śpiewający jakąś włoską piosenkę; ale naraz ucicha i wkrótce do salonu wbiega świeża jak kwiatek polny dziewczyna. Uplnęło jedenaście lat od chwili, w której, młody wówczas i bardzo, wzięty adwokat Żywiński pochował w ziemi, w niemłodsiernej ziemi, wierną, ukochaną żonę. Chłopczyk niedługo poszedł za matką; ojcu zostało się już tylko dziewczętko.

Gdy weszła teraz do salonu, zdawało się, że wniosła ze sobą światło i życie, wesele i uśmiechy. Wysoka, wysmukła, z przesłizną figurą, z rączkami i nóżkami dziecka zachwyca i pociąga każde oko ku sobie. Złote ciężkie warkocze, spięte nisko nad białą, ląbedzią szyjką, nadają foremnej główce wdzięk szlachetny, klasyczny. Mocno zarysowane brwi i długie czarne rzęsy, rzucają smutny, poważny cień, na wielkie, mądre, szafirowe oczy; malutkie purpurowe usteczka mają uśmiech słodki, łagodny; nasek prosty, mały, z lekko drgającymi różowemi nozdrzami. Wysunięty podbródek świadczy wyraźnie o silnej woli dziewczęcej, a wypukłe, rozwinięte ku skroniom czoło — o inteligencji, o usposobieniu myślącym, marzycielskim. Gdy wbiegła do pokoju i objawszy małemi rączkami szyję ojca, zaczęła całować jego twarz, oczy, usta, była tylko pieczęcią jedynaczką, ukochaną córką, namiętną ubóstwiająca ojca. I tak też było w istocie. Janina kocha ojca całym sercem, myślą, duszą całą. Niema rzeczy, którejby dla niego nie zrobiła, niema ofiary, którejby nie spełniła z uśmiechem. Żywiński wie o tem dobrze, i dlatego z uśmiechniętą, rozradowaną twarzą podaje córce elegancki bilecik, który przed chwilą otrzymał. Dziewczyna, lekko wsparta na ramieniu ojca, czyta. Na białą twarzyczkę występują płomienne rumieńce... rączki trzymające papier drżą.

— Czy zyczysz sobie, ojezulku, ażebym przyjęła oświadczenia p. Emila? — pyta, zwolna składając list. Jest zupełnie spokojną, tylko długie rzęsy opadają na piękne oczy dziewczęca, gdy ojciec biorąc jej rączki w swe dłonie mówi, że chciałby, chciałby bardzo, ażeby została żoną hrabiego Emila.

Ona uśmiecha się łagodnie. — A więc to rzecz postanowiona — szepcze — odpisz ojezulku, że przyjmuję propozycję.

— Ale — mówi ojciec — czyś pomyślała nad tem,

że Emil ma już lat 45, że nie jest młodym ani pięknym?

— Ty, ojezulku — zyczysz sobie tego małżeństwa, a ja jestem szczęśliwą, że mogę ci dogodzić — odpowiada Janina całując ręce swego życiodawcy. Żywiński już nie dodaje żadnej uwagi, i odchodzi uszczęśliwiony, ażeby odpisać przyszłemu zięciowi, że Janina chętnie zostanie hrabiną Emilową.

Dziewczę po odejściu ojca długą chwilę stoi zadumane. Myśli o swoich dawnych marzeniach, o wysnionym a niedosięgłym ideale; żal jej się robi młodości rzuconej w objęcia niekochanego człowieka... chce biedz do ojca, chce wołać, że nigdy nie zostanie żoną Emila... Ale już za późno: ojciec powraca i wesoło mówi córce, że wysłał odpowiedź.

— A teraz chodźmy na śniadanie — mówi, całując śliczną głowę córki. — Jest tak ożywiony, uśmiechnięty, szczęśliwy, że córka nie chce go zasnucać; zmusza się do jadła, do uśmiechu, do rozmowy.

Dlaczego ten człowiek, który sam ożenił się z miłości i żonę swą ubóstwiał, poświęca jedyną, ukochaną córkę na małżeństwo bez uczucia? Przez próżność! Chce mieć zięcia hrabiego, chce dziecko swoje wprowadzić do starodawnej rodziny, zapewnić jej życie świetne w tak zwanej wyższej sferze. Janina zostanie panią ogromnego majątku, będzie jeździła karetami, sprowadzała toalety z Paryża i wydawała sławne na całą stolicę bale; a to wszystko kosztem szczęścia i spokoju całego życia!...

* * *

Salon roi się tłumem świetnym. Pan domu obchodzi swe imieniny — z wystawnością, zachowywaną corok w dniu tak uroczystym. Młode pary szykują się do ochoczej zabawy, ruch i gwar panują wszędzie, wszędzie pełno uśmiechów, komplementów, szepców i westchnień. Zabrzmiały pierwsze tony walca; kilka par pomknęło po gładkiej, lustrzanej posadzce: gdy zwolna otworzono podwoje i na progu sali balowej stanęła przesłizna młodzianka, złotowłosa kobieta, wsparta na ramieniu siwiejącego, już poważnego mężczyzny. Stojąca przy drzwiach młodzież rozstąpiła się z uszanowaniem przed nieznaną parą, która przesunęła się zwolna, rozdając po drodze ukłony i uściłki rąk. Piękna kobieta przywitała się serdecznie z gospodynią i usiadła obok niej, prowadząc żywą rozmowę. Mężczyznę zabrał pan domu — i niedługo otoczyło go liczne grono mężczyzn.

Pary już się uszykowały do kontredansa, a ona siedziała, ciągle na jednym miejscu, posyłając wzrok niespokojny do przyległego salonu. Nagle przez salon balowy przesunął się szczupły, wysoki brunet, i podał jej ramię.

Młoda kobieta tańczyła przesłiznie, z niewysłowionym idealnym wdziękiem. Pierwsza figura skończyła się już; młoda para dotąd milcząca, zaczęła teraz rozmowę, która oboje musiała zajmować, bo po twarzy kobiety cochwila przesunął się płomienisty, purpurowy rumieniec, a oczy mężczyzny patrzyły w nią uważnie, choć spokojnie i chłodno.

Muzyka, gwar, ruch — tłumyły dźwięki słów. Naraz młoda kobieta cofnęła się nagle i zawołała prawie w głos:

— Więc żenisz się naprawdę?

Była bladą jak marmur, zdawało się, że padnie na ziemię.

Ostatnie tony muzyki przebrzmiały, towarzystwo rozproszyło się po dalszych pokojach, salon opustoszał; tylko pod oknem, zasłonięci koronkami firanek, siedzieli piękna pani i jej taneczny brunet. Ona blada i biała, jak fale materii, która ją stroiła, w namiętnym rozdrażnieniu skubała listki białych róż i konwalii. On, pochylony ku niej, szeptał jakieś słowa pociechy — może nadziei! Ci ludzie się kochają — raczej ta kobieta kocha, kocha całym żarem duszy! A on?...

Powstał, by odejść; ale kobieta powstrzymała go jeszcze jednym pytaniem: — Czy oświadczyłeś się już?

— Nie, — chciałem cię pierwej uprzedzić.

Mówił to chłodno, swobodnie, nie patrząc na nią, nie myśląc, jaki jej ból zadaje; skłonił się i odszedł.

Pozostała sama, zasunięta w ciemną framugę okna. Po zbladłej twarzy potoczyła się łza i upadła na białe listki kwiatów. — Zadumana, nie widziała i nie czuła nic wokół siebie. Myśl jej, zgnębiona, smutna, cofnęła się do pierwszych, dzieciennych lat życia: lotem błyskawicy przebiegła wszystko, co dotąd przeżyła i przecierpiała. Przed oczami duszy stanęło jej smutne, pozabawione matczynej pieczęcią dzieciństwo, i młodzianckie lata spędzone w ciemnych, posępnych murach pensjonatu. Potem widziała się dorosłą panną, której ukochany nad wszystko ojciec zaproponował małżeństwo z człowiekiem trzy razy starszym od niej. Przyjęła propozycję i została żoną starego milionera. Biedne dziecko nie miało przy swym boku kochającej, rozumnej matki, któraby jej powiedziała, że strój oblubienicy powinna kłaść na siebie tylko kobieta kochająca nad wszystko człowieka wybranego. Do ołtarzy Pańskich nie wolno przystępować bez miłości i wiary! Zawsze to zbrodnia i świętokradztwo; przedzaj czy później serce upomni się o swoje prawa. Kobieta musi kochać i być kochaną. Dzisiaj wie już ona, ach, wie o tej smutnej prawdzie. — Kocha!... pokochała tak łatwo. Kilka spojrzeń wielkich czarnych oczu, słów kilka, wymówionych melodyjnym przyciszonym głosem: oto i wszystko. — Nic tu nie pomógł opór, szamotanie się z sobą. O! dobrze ma w pamięci ten smutny, dżdżysty dzień jesienny!

...Siedziała w swoim ślicznym niebieskim saloniku. Na marmurowym kominku palił się jasny ogień, woń fiołków rozchodziła się po pokoju. — Było jej jakoś samotnie, tęskno... gdy nagle wszedł mąż, prowadząc młodego pięknego mężczyznę. Jakże dziwnie jasno i wesoło zrobiło się w biednym, smutnym sercu! Nigdy już, ani przedtem, ani potem, nie była tak piękną, wesołą, szczęśliwą. — Skromna kaszmirowa biała sukienka stroiła ją cudownie, na bladej zwykle twarzy zakwitły róże — uczucia. Był to sen, sen uroczy, ale i uludny — marzenie, które rozwiać się musiało, i z szczęścia zostać — bólem.

O czym jeszcze myśleć? — Tak, gdyby się tylko myślało a nie czuło! Gdyby nie ta straszna potęga — która się sercem ludzkim nazywa...

I znów muzyka zabrzmiała, rozpoczęły się tańce. Piękna pani tańczyła ciągle, spokojna, uśmiechniona, a ludzie, patrząc na nią, mówili: „O, jaka piękna! jaka szczęśliwa!“

* * *

W kilka dni po balu hrabia Emil, powróciwszy z miasta, wszedł do pokoju żony z wiadomością, że spotkał pana Karola w towarzystwie narzeczonej.

Na twarzy Janiny zapłonął rumieniec... Usta drżały nerwowo, gdy pytała: czy ładną jest ta pani?

— To rzecz gustu — odpowiedział hrabia — dla mnie jest przedewszystkiem pospolitą i niesympatyczną.

Po odejściu męża, kobieta zwolna przeszła pokój, stanęła w otwartym oknie i znowu z pięknych szafirowych oczu spłynęła ciężka łza, jak wtedy, na balu — we framudze okna.

* * *

Uplnęło kilka miesięcy, minęło lato, przeszła jesień. Z początkiem karnawału, w pierwszych dniach Stycznia, w wieczór jasny, mroźny, wyskrzyczny gwiazdami, ulicami miasta szybko biegła młoda kobieta. Minęła kilka ulic i stanęła na progu świątyni, w której już mnóstwo osób oczekiwało na mający się odbyć ślub. Zwolna przeszła główną nawę i ukłękła przy bocznym ołtarzu. Zaczęła się modlić, a ta modlitwa, z początku odmawiana zwolna chłodnymi ustami, zmieniła się w serdeczny pacierz za ukochanego. — „O! Panie! daj mi szczęście!“ — szeptały blade usta. Gdy młoda zaślubieni odchodzili już od ołtarza, ona wysunęła się ze świątyni. Teraz szła spokojna, zrezygnowana. Była już w swym pałacu, a jeszcze odmawiała

modlitwy za umarłych: on był już dla niej umarłym. W dwie godziny potem, w pysznej toalecie, z kwiatami w skroni, jechała obok starego męża, na bal, którego, jak zwykle, była królową.

Po powrocie do domu dostała silnej gorączki.—Największe powagi medyczne otoczyły łóżko chorej; ale nie pomogły starania i opieka, nie rozpacz ojca, ani głośnie narzekanie męża, nie obciążenie złotych warkoczy, które ciężżyły chorej głowę. Piękna pani dostała zapalenia mózgu i umarła.

* * *

Przy jednej z pierwszorzędných ulic miasta w świeżutko, elegancko urządzonej mieszkanie, zastajemy dwoje młodych ludzi.—Mężczyzna, wysoki, wysmukły brunet z pięknymi czarnymi oczami, trzyma kapelusz w rękę i zabiega się do wyjścia. To ów towarzysz pięknej pani z balu. Kobieta, dwudziestoletnia szatynka, z wydatnymi rysami i ublanszowaną cerą, ubrana w spacerowy kostium ma minę bardzo niezadowoloną, zagniewaną.—Nie chcę, ażebyś tam szedł — woła płaczącym głosem. Czas taki piękny: chodźmy na spacer.—Co cię ta kobieta obchodzi? Umarła i nie zobaczysz już więcej; nie robi ci wymówki, żeś nie był na pogrzebie... a mówi te słowa cynicznie wesoło uśmiechnięta i, przysuwając się do męża, nagłym ruchem wrywa mu kapelusz z ręki.—Ale śmiech jej dzwięczny, głośnie, przerywa ponury śpiew księży; pod oknami przesuwają się zwolna pogrzebowe orszaki. Piękna pani ostatni raz odbywa ziemską podróż.

Młoda para stanęła przy oknie; on nie spieszy się już z wyjściem, ona się nie śmieje. Oboje wpatrzni w uwieńczoną kwiatami trumnę, myślą, że kilka dni temu, ta, którą niosą, bladą, cichą, była piękną, pełną życia.

—A teraz, mężulku, chodźmy na spacer—woła młoda kobieta, gdy śpiew księży ucichł, i tłum się przesunął. On budzi się jak ze snu.—Chodźmy—mówi, jakimś sennym, smutnym głosem, i po chwili są już na ulicy—młodzi, piękni, weseli.

A Janina? Biedna! nie była stworzoną do lekkich miłostek, do igrania z sercem.—Na grobie pięknej pani kwitną ulubione jej białe róże i konwalie, które pielęgnuje zbolęły ojciec. Hrabia Emil ożenił się powtórnie: prędko się pocieszył po stracie slicznej żony.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

O wpływie rosy na rośliny.

Któż z nas nie zachwycał się czarami wiosennego poranku, gdy natura rozbudza się, zlocąc zielony kobierzec ziemi światłem, nasycając atmosferę balsamiczną wonią kwiatów? Wdzięki tej przyrody wywierają silne wrażenia na naszą duszę, orzeźwiają nasz umysł, rozweselają myśli, oddziałują w tym lub owym kierunku, na nasze uczucia.

Wpływy jednak tej przyrody na nasz ustrój psychiczny zależą przedewszystkiem od rosy, bez której nie mógłby poranek wiosenny być tak pełnym, skrzyć się tak pełnym życiem.

Brak jej na kwiatkach i trawie, po której przechodzimy suchą nogą, nie usposabia nas do wesołości, mniej nas wówczas nęca obrazy natury, a wrastający upał niekorzystnie oddziałują na nasz humor.

Rosa zatem jest pierwszą przyczyną naszych miłych wrażeń, lecz zjawia się ona tylko w pewnych warunkach; do jej wytworu potrzeba spokojnego powietrza i pogodnego nieba: wytwarza się też obficie po rzęsim deszczu, lub po długotrwałej słońcu.

Błyszczące, dyamentowego blasku, krople rosy, na łąkach, liściach i kwiatkach, są dla nas zwi-

stunami pięknego poranku, a dla roślin pożądanym źródłem rozwoju.

Najwyższym stopniem świeżości kwiecica jest rosa na nim się utrzymująca.

W jaki sposób rosa działa na florę, powiemy o tem niżej; tu nadmienić winniśmy, że i sama roślina przyjmuje udział w wytworze rosy, o czem zresztą sam poglądną na rośliny przekonywa. Bujne trawy i wspaniałe kwiaty ogrodowe uginają się pod ciężarem rosy; trawy zaś i kwiaty zeschnięte, więdnące, nieco tylko przez nią są zwilżone, a chodniki kamienne, kwarc, żwir, całkiem suchymi pozostają.

Tworzenie się rosy w przeróżny sposób objaśniano; rzeczywistą wszakże przyczyną tego zjawiska, poznano dopiero w pierwszej połowie bieżącego stulecia, a poznano wskutek ścisłej i umiejętnej obserwacji. To też dziś przyjmujemy z uśmiechem zapatrywania się na ten przedmiot średniowiecznych uczonych, którzy w rosie upatrywali krople wodne, pochodzące z parowania gwiazd. I w XVII wieku nie więcej były warte poglądy owoczesnych fizyków na formowanie się rosy, która według nich, wydostawała się z ziemi. Niewcześniej niż przed sześćdziesięciu laty, uczono dopiero w szkołach, że rosa jest atmosferyczną parą wodną, spadającą na ciała pozbawione ciepła. Wszelako błędne zapatrywania się dawnych badaczy nie były pozbawione pewnej podstawy, gdyż możemy wytworzyć sami osadzenie się na roślinach krople wody pochodzących z ziemi. Ilekroć młode roślinki pokojowe, tak zwane *ablegierki*, przykrywamy szklanym naczyniem, wciskając brzegi jego w wilgotną ziemię wypełniającą doniczkę! W tych warunkach rośliny znajdują się w osrodku nasyconym parą wodną, wskutek czego, na kończynach ich liści występują dość okazałe krople wody, wielce podobne do perlistej rosy. Woda ta pochodzi z samej rośliny, czerpiącej ją z ziemi.

Przyjrzyjmy się bliżej temu processowi, najwybitniej przejawiającemu się na młodym jęczmieniu lub kukurudzy. Proces ten wistocie nie ma nic wspólnego z wytworem rosy. Wydzielenie w nim kropli wody następuje wskutek wyciskania jej przez korzenie, podobnie jak to ma miejsce z pocieniem się macicy winnej, wynikającym z nacięcia jej gałęzi w pierwszej porze wiosennej. W processie tym operują komórki korzenia, absorbujące chciwie wodę, która gdy się w nich nagromadzi do zbytku, na ścianki komórkowe wywiera tak silny nacisk, że się przez nie filtruje, wskutek czego przejawia się na powierzchni nacięcia winnej macicy; na listkach zaś młodej trawy woda skrapla się po wydzieleniu jej przez korzonki. Podobny proces zachodzi w kukurudzy, porastającej na wielce wilgotnym gruncie.

Nietylko na roślinach ale i na innych ciałach, jak naprzykład na deskach ławek ogrodowych, znachodzimy rosę, która nie w inny sposób, tylko przez skroplenie się pary wodnej w atmosferze, na nich się osadza. Na to się każdy zgodzi i łatwo cały proces zrozumie.

Trudniej wszelako przychodzi wyjaśnić: w jaki sposób roślina oddziałuje na tworzenie się rosy; dlaczego ta osadza się obficie na roślinach zdrowych i silnych, niż na schorzałych i wątłych; dlaczego wreszcie rosa perli się obficie na jednych gatunkach flory, niż na drugich?

W czasie wytworu rosy roślina zachowuje się taksamo, jak każde inne ciało. Jeżeli z jakiegokolwiek ciała wyparuje ciepło, lub inna jaka przyczyna wpłynie na jego oziębienie, to, gdy temperatura tego ciała stanie się niższą od temperatury otaczającego powietrza, jasną jest rzeczą, że wówczas rosa skropi się na owem ciele.

To nam wyjaśnia: dlaczego chodniki kamienne, z kwarcu lub żwiru, pozostają suchymi, gdy jednocześnie ławki ogrodowe są zroszone, i dlaczego rosa obficie osadza się na roślinach zdrowych i silnych, niż na wątłych lub obumarłych. Świeża bowiem, w pełni życia roślina wydaje więcej ciepła niż inne wyżej wspomniane ciała, zwłaszcza, jeżeli odznacza się żywą zieloną barwą.

Ta barwa to chlorofil¹⁾, który pochłaniając

światło słoneczne, zmienia je w ciepło w organizmie roślinnym, wskutek czego i tak już silne parowanie rośliny powiększonym zostaje, a jednocześnie obniża temperaturę otaczającego ją osrodka, respective atmosfery. Ciepłik assimilowany przez roślinę następnie rozprasza się w powietrzu. Jasną jest rzeczą, że tym sposobem, im więcej roślina posiada chlorofilu, to jest zielonego barwnika, tem silniej paruje, a więc prędzej pozbywa się ciepła, wskutek czego znowu, w krótszym czasie i obficie zroszoną zostaje od roślin, mniej w chlorofil zasobnych, wątłych i obumarłych.

Układ też części organicznych rośliny wpływa niemało na to zjawisko; jakkolwiek bowiem ciała mogą pozostawać w jednakowych warunkach, to wszakże te z nich będą pierwiej parować, a więc i stygnąć i prędzej pokrywać się rosą, których układ będzie bardziej poziomym, przedstawiającym zatem szerszą powierzchnię, czyli im się więcej będą oddalać od układu pionowego.

Innymi słowy, ciała reprezentujące układ poziomy, przedstawiające temsamem wielką powierzchnię, parować będą prędzej i dzielniej od ciał z układem pionowym, a więc o małej powierzchni, których parowanie w ostatecznej granicy może się zredukować do zera.

Najwidoczniej przekonywają o tym fakcie liście przedstawiające na operowanie światła słonecznego, szeroką, w poziomym układzie powierzchnię, gdyż najwięcej mogą pochłaniać światła. Jak wielce układ liści wpływa na promieniowanie ciepła, możemy dostrzedz przy tworzeniu się szronu.

W rzeczy samej tem obficie na liściach szron się osadza, im więcej układ ich jest poziomym. Wiadomo nam zresztą, że szron jest niczem innym, tylko zmrożoną rosą. Im bardziej temperatura rośliny obniża się, tem obficie na niej przejawia się rosa. Proces jej osadzania się rozpoczyna się temsamem przy schyłku dnia, wieczorem; w porze tej jednak krople rosy zaledwie dojrzeć można, później dopiero, gdy noc zapanuje, rosa się pomnaża, a obfitość jej dochodzi najwyższego stopnia, przed samym wschodem słońca. Po wschodzie rosa trwa krótko, gdyż promienie słoneczne zmieniają ją w parę wodną, co następuje tem prędzej, im promieniowanie słońca jest silniejsze.

Odpowiednio do klimatycznych miejscowych warunków rosa osadza się na roślinach w większej lub mniejszej ilości: i tak, na morzu całkiem się nie zjawia; natomiast na pobrzeżach morskich, gdzie od ładu wieją prądy zimnego wiatru, te parę wodną do zgęszczenia doprowadzają. Na małych wysepkach wśród oceanu położonych, osadzanie się rosy jest równie słabem, jak na pełnym morzu, wskutek czego, roślinność owych wysepek, nieodżywiana dostateczną ilością rosy, jest dość ubogą. Przeciwnie roślinność wybrzeży morskich, oraz rozległych jezior górskich, z powodu obfitego osadzania się rosy, przedstawia się przepysznie.

Rosa spada w nierównie większej ilości w dolinach, niż na wzgórzach, z tej prostej racji, że pochodzi z wyższych, a temsamem zimniejszych, sfer powierzchni.

Najobficie wszakże osadza się rosa na wybrzeżach stref gorących, zwrotnikowych, gdzie, jak to Boussingault zaobserwował, w czasie pogodnych jasnych nocy, rosa, niby pyłkawy deszczyk, spada na rośliny i na nie taksamo jak deszcz oddziałuje, gdyż do ich zroszenia w tym razie przyczynia się, nietylko rosa atmosferyczna, ale nadto i ziemia wilgocona.

Kierunek wiatru niemniej wywiera wielki wpływ na osadzanie się rosy, jakkolwiek na pierwszy rzut oka, wydaje się to niezrozumiałem.

Wiatr zachodni, pomimo, że jest zasobniejszym w wodę od wschodniego, nie przynosi jednak rosy tak obfitej, jak ten ostatni. Przyczyna tego bardzo prosta: wiatr bowiem wschodni jest ciepłszym nierównie od zachodniego a na wytwór rosy ciepło działa niezmiernie korzystnie. Wiatr zresztą wschodni nie przynosi deszczu; niebo w czasie jego prądu jest pogodnym, warstwy chmur unoszą się wyżej, niż przy wietrze zachodnim: z tych też względów, pomimo mniejszego zasobu wody w atmosferze, rosa spada obficie

1) Barwnik nadający roślinom kolor zielony.

przy wietrze wschodnim. Potrzeba jednak, aby powietrze niosące dobroczynną rosę nie było parcie zbyt silnym prądem wiatru wschodniego, w tym bowiem razie może rosa całkiem nie osadzić się na roślinach.

Tworzenie się rosy następuje w bliskości ziemi, wskutek czego najniżej krzewiące się rośliny, jako to: trawa, mchy, kapusta, przedstawiają liście najobficiej zroszone. Tylko w tym razie, gdy atmosfera wielce jest bogatą w wodę, wytwarza się rosa na liściach roślin wyżej odsuniętych od ziemi, jak na krzewach i niższych częściach drzew. Ze wszech organów roślinnych najwięcej bywają zroszone liście, ponieważ nierównie silniej pocą się niż łodygi, kwiaty, owoce, i t. p., a temsamem i prędzej oziębiają się — a prócz tego pocą się i z powodu swego układu, sprzyjającego promieniowaniu ciepła, jak to zaznaczyliśmy wyżej.

Największa ilość rosy zbiera się na wierzchniej stronie liści, a to w postaci zwykle wielkich kropli wodnych, zlewających się gdzieindziej z sobą; na dolnej zaś stronie liści osadza się rosa w kropłach małych, w postaci drobniutkich perełek, ściśle obok siebie poumieszczonych.

Określiłszy już warunki powstawania rosy i wpływ organów roślinnych na jej wytwór; pozostaje nam teraz rozwiązać pytanie: jakim jest działanie rosy na rośliny?

Pragnienie rozwiązania tego pytania jest tem silniej uzasadnione, że rosa widocznie orzeźwia roślinę znękaną palącym żarem słońca.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

— W Krakowskiej szkole handlowej dla kobiet zaprowadzoną zostanie z początkiem nowego roku szkolnego nauka kwicjarstwa; następnie kolejno wprowadzone będą: nauka koronkarstwa, szycia maszynowego, oraz prania i prasowania. Rzecz ta, wielce pożyteczna, wyszła z inicjatywy rady miejskiej, D-ra Faustyna Jakubowskiego.

Zpomiędzy 29-ciu uczennic uczęszczających w bieżącym roku do szkoły handlowej, tylko dziewięć stanęło do egzaminu.

— Włoskie Stowarzyszenie kobiece Czerwonego Krzyża z hrabiną Rivaschieri na czele pośpieszyło na miejsce okrutnego wypadku na Ischia.

— Stowarzyszenie Nauczycielek Irlandzkich, założone w 1869 r., odbyło w Dublinie doroczne swe posiedzenie, otwierając je d. 22 Lipca. Przez pierwsze trzy dni obradowano nad rozmaitemi metodami nauczania, następnie zgromadzenie przeszło do rozpraw nad głównym celem swoim: krzewieniem edukacji narodowej za pośrednictwem członków stowarzyszenia i skutek był następujący. Takie wykształcenie nauczycielek Irlandek, któreby odpowiadało dostatecznie dzisiejszym wymaganiom naukowemu — i wychowawczym, może jedynie obronić kraj od napływu nauczycielek cudzoziemek, szczególnie Angielek, które w znaczeniu edukacji narodowej nie mogą spełnić dobrze zadania swego wobec dzieci irlandzkich. Zatem najpierwszem i najtroskliwszem usiłowaniem stowarzyszenia powinno być udzielanie wszelkiej możliwej pomocy osobom, chcącym się sposobie do stanu nauczycielskiego, a to: 1) Przez zbieranie funduszków na stypendya, przywiązane do wyższych szkół żeńskich w Irlandyi 2) Utrzymywanie kantoru stręczeń stowarzyszenia, któreby w ten sposób pośredniczyło między publiczno-

ścią a potrzebującymi zajęcia nauczycielkami Irlandkami.

Stowarzyszenie wykazało znaczną już liczbę stypendyów, któremi rozporządza i wzywając przez dzienniki narodowe do ofiar w tym kierunku, zwróciło uwagę publiczną na fakt niemałego znaczenia. Głównie wskutek nieszczęśliwego położenia kraju i ztąd znacznego wychodźstwa mężczyzn do Ameryki, jest obecnie na Zielonej Wyspie 131-767 kobiet więcej: zatem popieranie wyższego wykształcenia kobiety irlandzkiej, któreby uzdalniając ją do stanu nauczycielskiego, wypierało tem samem nauczycielkę obcą, ma jeden jeszcze wzgląd patryotyczny: daje kawałek chleba nieszczęśliwie osamotnionej.

— Generał Wolseley, składając Parlamentowi raport co do wewnętrznej administracji armii angielskiej w czasie wojny egipskiej, poruszył ważną kwestyą — wykazał brak takiej obsługi lazaretowej, jaką posiadają kraje inne, mające Siostry Miłosierdzia. Zastępujących je infirmerek świeckich ma jeszcze Anglia zamało, aby w czasie wojny powierzyć im można obsługę lazaretów i ambulansów polowych, „mężczyzna przecież nie potrafi nigdy wywiązać się dobrze z zadania, któremu podołać może tylko ofiarność i uczuciowość kobiety“, jak tego przykład przedstawiły dwa lazarety rządowe w Kairze. Jednym kierowała lrdy Strangford i choć fundusze były mniejsze, bo pochodziły jedynie ze składek prywatnych, rannych i chorych otaczała tu troskliwość największa, porządek był wzorowy i śmiertelność owiele mniejsza niż w drugim, oddanym pod zarząd i pieczę mężką, która wśród trudnych okoliczności miejscowych okazywała się niedostateczną, bo nie umiała zastąpić niedostatku środków poświęceniem, jakie się rodzić może tylko z tklivosti serca kobiety — zakończył naczelny wódz wojsk angielskich, a te Angielki, które właśnie niedawno czuły się pokrzywdzonymi, że odepchnięto je od urny wyborczej, niech się pocieszą w aspiracjach swoich patryotycznych, jeżeli tu o nie chodziło. I kobieta ma swoje pole pracy i ofiary obywatelskiej, na której jej kobiecość takie usługi przynosi, jak gdzieindziej mężkość, surowa siła męża.

Sędziowie *Hygienicznej Wystawy* w Berlinie przyznali sześć medali złotych i dwa srebrne stowarzyszeniom kobiecym ratowania życia i zdrowia ludzkiego. Medale złote otrzymały: centralny komitet pań niemieckich Czerwonego Krzyża; Stowarzyszenie tanich kuchni berlińskich; Bawarskie i Badańskie Stowarzyszenie kobiet dla ratowania rannych i chorych żołnierzy; Austriacko-Węgierskie stowarzyszenie kobiet Czerwonego Krzyża; Centralny komitet pań Niderlandzkiego Czerwonego Krzyża, Szkoła Dyakonów z Kaiserwerth. Medale srebrne dostały się: Zarządowi kobiecemu szpitala dzieciennego w Dreźnie, stowarzyszenie Kobiet Niemieckich zajmujących się letniami koloniami dzieci ubogich.

— W Królestwie Saskiem umarła niedawno Teresa Haubenreizer, która w d. 13 Czerwca r. 1813 w pobliżu pola bitwy pod Lützen znalazła patryotycznego śpiewaka Niemiec, Teodora Körnera, omdlałego z ran i, sama dawszy mu ratunek pierwszy, przywołała do niego ludzi. Była to wtedy dziewczynka dziesięcioletnia; gdy była już starszą sędziwą, to jest w sześćdziesiąt lat po spełnionym czynie, rząd przyznał jej pensyą dożywotnią.

— Karol Oskar Szwedzki przyznał złoty medal zaśluzi obywatelskiej Lei Ahlhorn za trzydziestoletnią służbę w mennisz sztokholmskiej, gdzie grawirowała na metalach. Wszystkie medale pamiątkowe, wybite w Szwecyi od czasu jej urzędowania, były przez nią grawirowane.

— Uniwersytet Upsalski przyznał stopień doktora filozofii młodej, dwudziestoletniej pannie, Helenie Fries, córce pułkownika wojsk szwedzkich.

Przedmiotem rozprawy zadanej jej na doktorat, był: „Przyczynki do zbadania dyplomatycznych stosunków między Szwecyą a Niderlandami za panowania Karola X-go“. Helena, a raczej Elena Fries, broniła z katedry tezy swojej bardzo spokojnie i poważnie, głosem dźwięcznym, pięknego muzycznego brzmienia, dającym się słyszeć wyraźnie w całej sali, która była pełną słuchaczy. Doktoryzującą się, ubraną w czarną, wełnianą suknię, ze złotym tylko na szyi łańcuszkiem, przyjęła następnie insignia otrzymanej godności: pierścienia, dyplom i wieniec laurowy, który włożono jej na skronie przy żywo okazanym współczuciu publiczności. Doktoryzowała się współcześnie kilku studentów Uniwersytetu Upsalskiego, z których wszyscy okazywali jej należne uszanowanie i życzliwość. Studya filozoficzne, uzdalniające do wyższego nauczycielstwa, nie były nigdy odmawiane kobiecie, nie ma w nich tej drażliwości, jaką przedstawia studyowanie medycyny: nie narzą więc studyującej na przykre przejścia i zarzut niekobiecości, który koniecznie musi spotykać kształcące się do zawodu lekarskiego. Tu wykazuje się tylko szlachetne pragnienie nauki, co zawsze i wszędzie wzbudzało i wzbudza w ludziach szacunek wyższy.

— Pandita Ramabai, znana czytelnikom naszym uczona Indyanka, poświęcająca się usilnie podniesieniu umysłowego poziomu rodaczek swoich, związała w Ahmedabad stowarzyszenie dążące do tego celu; a noszące nazwę: „Arya Mahila Somay“. Pandita wyjechała obecnie do Anglii dla zwiedzenia niższych i wyższych szkół dla dziewcząt, oraz przyjrzenia się rodzinnemu i towarzyskiemu życiu a także i gospodarskiej działalności kobiet europejskich.

— W Madras jedna z pierwszych studentek medycyny w tamtejszem kolegium lekarskiem, doktoryzowana następnie, panna pochodząca z rodziny angielskiej, poświęciła się praktyce lekarskiej, urządziwszy przy pomieszkaniu swoim lecznicę dla przychodzących z miasta kobiet i dzieci. Także w Indjach wykształcona doktorka medycyny, miss Beale w tensam sposób otworzyła praktykę dla kobiet w Rajpootana; jest to miss White w Hyderabad. Wpływ lekarek europejskich, stykających się coraz więcej i coraz bliżej z kobietami krajowymi, oddziała w najsilniejszy sposób na zmianę obyczajów i rodzinnego życia Indyi. Gdy raz Indyanka wykształci się i umysłowo podniesie, już wszystko wkoło niej zmianie uleż musi.

— Sułtan Marokański wydał w d. 5 Czerwca roku bieżącego edykt, mocą którego nie wolno jest policji wymierzać kobietom cielesnej kary bicia. Wprawdzie chłosta uświęcona jest przez Koran, przecież dotąd skazywać na nią może tylko Kadi, czyli sędzia. Stało się to na zbiorowe żądanie reprezentantów mocarstw europejskich, rezydujących w Tangierze; i nawet Kadi nie ma prawa stosować tej barbarzyńskiej kary, jeżeli sprowadzająca ją wina nie będzie dowiedziona przez świadectwo najmniej trzech wiarogodnych osób.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się artykuł 2-gi powieści pod tyt.: *Orli lot*.

TREŚĆ. Sara Robinson, Agnieszka Weston (dokończenie), przez M. Ilnicką. — Strofa prozą, (dokończenie), przez W. Z. Kościółkowską. — Uczciowi, komedia, (dalszy ciąg), przez Józefa Bliżińskiego. — Historia, jakich wiele. — Z dzieła przyrody. — Kronika działalności kobiecej.